

DWIE MINUTY CISZY

Samochód miał za dużą szybkość i przejechał jeszcze bramę ogrodu. Podczas hamowania odrzuciło Tidemanna do przodu, musiał przytrzymać się rękoma, kapelusz zsunął mu się przy tym na czoło. Nagły ruch sprawił, iż wszystko, co tego dnia zjadł i wypił, podeszło mu do gardła. Przez moment siedział tak pochylony do przodu, na czoło wystąpił mu zimny pot, wpatrywał się w popielniczkę, w której tliło się jego na pół dopalone grube cygaro. Kiedy kierowca cofał wóz w stronę bramy, Tidemann przypominał dużego, ledwie żywego chrząszcza o powolnych nogach i czułkach, wpadło mu do głowy, że przed wyjściem z samochodu powinien poprawić kapelusz; rozpiął palto i mechanicznie chwycił za portfel. Dał kierowcy banknot, nie chciał bowiem czekać na resztę, podczas gdy oni mogli go widzieć z okna; przyłożył więc wskazujący palec do kapelusza, dając w ten sposób do zrozumienia, że suma się zgadza, i wykroczył nagle przed bramę. Kierowca jednak pobiegł za nim, mówiąc: — Pan czegoś zapomniał! — i podał mu żółtą aktówkę. Nieco zirytowany odparł: — Ach tak, dziękuję. — Na pewno dostrzegli to z okien. Zebrało się chyba dużo ludzi, minęła przecież godzina, zanim odszukano go w mieście. Równocześnie jednak pomyślał, iż jeśli już coś zauważą, to potraktują to jak szok, nie pił przecież więcej niż zazwyczaj.

Pośrodku drogi wyłożonej płytkami mechanicznie wsunął rękę do kieszeni spodni po klucze, nie było to jednak konieczne, ponieważ w tym samym momencie otwarto drzwi, ujrzał Lisbeth w czarno-białej sukience pokojówki i jej

czerwoną, nabrzmiałą od płaczu twarz. Widok ten rozżo-
cił go, cóż bowiem obchodziło ją jego zmartwienie, na doda-
tek zaraził się jej cierpiętniczą miną, stracił panowanie nad
swoją mową, nie potrafił powiedzieć słowa, kiwał tylko gło-
wą, podając jej palto i kapelusz, po czym poszedł dalej przez
duży przedpokój. Było tak, jak sobie wyobrażał: ktoś wy-
szedł z pokoju, dzięki Bogu tylko Else, jego siostra ze spi-
czastym nosem i stroskaną twarzą. Szła do niego, wyciąga-
jąc ręce, i powiedziała: — Axel! — Objął ją i pocałował w
policzek, usiłując jednocześnie wstrzymać oddech, aby nic
nie zauważyła. — Nie musisz nic mówić — powiedział co-
fając się trochę — wiem wszystko. — Był teraz na scho-
dach. — Wejdz do nich — dodał idąc — i powiedz, że za-
raz przyjdę. — Szedł bardzo wolno, przez cały czas wpatry-
wał się w szary dywanik, stwierdził, że jest w wielu miej-
scach przetarty, pomyślał, iż teraz, kiedy skończyła się bie-
ganina po schodach, każe położyć nowy. Ponownie niemal
nie stracił panowania nad twarzą, cała ta historia była zu-
pełnie inna i o wiele gorsza niż sądził, choć oczekiwał tego
od dawna, niemal z utęsknieniem; że też musiało się to zda-
rzyć właśnie dzisiaj, gdy jadł w mieście obiad z trzema przy-
jaciółmi z branży, musiano go wyciągać z baru. Myślał
tak zgorzkniały w obliczu nieprzeniknionej mocy, może
wobec losu lub Boga. Zatrzymał się nieco wyżej na scho-
dach i oparł się o poręcz, ciężko oddychając, na ostatnim
stopniu odczuł znów potrzebę oddania moczu oraz wciśnię-
cia palca do gardła, chciał już skrócić na lewo do łazienki,
zatrzymał się jednak niepewny, w całym domu bowiem pa-
nowała cisza, w pokoju na dole usłyszą zapewne, jeśli spu-
ści wodę. Dlatego poszedł w prawo do własnej sypialni, lecz
ociągał się nieco, jak obcy, bezradnie spojrzął na łóżko i po-
myślał; spać, spać, tylko godzinę, i nie myśleć o niczym!
Ale akt zgonu, nekrolog, stolarz, który ma zrobić trumnę
i pogrzeb, kościół i ksiądz! Mimo iż nieraz już rozważał te
sprawy, wyszukał nawet chorał, w rzeczywistości wszystko
okazało się inne i zaskoczyło go w pewnym stopniu, stał
teraz w pokoju o wbudowanych w ścianę szafach, gdzie wi-
siały jej suknie, kostiumy i płaszcze i stało pięćdziesiąt par

butów, nie mówiąc już o innych niezliczonych rzeczach. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie to umieści, a może stopniowo po kryjomu sprzeda lub da komuś, pospiesznie jednak pozbył się tej myśli, nadal wpatrywał się w dywan, umykający pod nim ze swym niebiesko-czerwonym wzorem, wiecznie tym samym niebiesko-czerwonym wzorem, przerwany jedynie przez próbę i ciągnącym się dalej przez sypialnię Ragny. Kiedy wszedł w półmrok za opuszczonymi zasłonami, poczuł zapach. Z krzesła podniosła się szybko biała postać. — Może pani zejść, panno Jacobsen — powiedział — chciałbym być sam. — Tyle jeszcze zdołał wypowiedzieć przed skurczem mięśni wokół ust. Widział, jak zgrabnie podeszła do balkonu, podciągnęła zasłony, uchyliła drzwi i zahaczyła je, zwrócił uwagę na spokój i pewność wykonywanych przez nią ruchów, przez moment zapragnął, by została w pokoju, by tylko została; ona jednak odeszła. Usiadł w niskim fotelu koło łóżka i czekał, aż na schodach oddalą się lekkie kroki i nastanie cisza. Nie żyje, pomyślał, Ragna nie żyje. Zrobiło mu się słabo, kiedy spróbował spojrzeć na łóżko, gdzie pod kołdrą leżało Coś nieruchomego, wyciągniętego, ze złożonymi dłońmi i odchyłoną do tyłu głową na poduszce; w czarnym żołądku poczuł kołysanie podchodzące do gardła; brodę Ragny podwiązano czymś białym, nie przyjrzał się temu, przesunął tylko wzrokiem, lecz wiedział, że chciano w ten sposób podtrzymać dolną szczękę i zamknąć usta, pomyślał: nieboszczyk może wydawać dźwięki, z jego ust mogą wyjść dźwięki. Dlatego ponownie wpatrzył się w czerwono-niebieski wzór dywanika, siedząc skulony, z uniesionymi ramionami, z rękoma zaciśniętymi wokół kolan, aby kołysanie z żołądka nie dosięgło ust. Po długiej chwili wyjął z górnej kieszeni chusteczkę, otarł pot z czoła, odpiął kamizelkę, górny guzik u spodni i haftkę, która go tak mocno uwierała, iż trudno już było wytrzymać, spojrzął na siebie, spróbował wciągnąć brzuch, myśląc: Nie to już się nie da ukryć, rośnie mi brzuch, nie wolno mi już tyle jeść ani pić, ale co robić, jeśli człowiek właśnie sprzedał za podwójną cenę kawał ziemi i każdy wie, że zarobek nie był tu niższy niż dwanaście tysięcy koron, wynosił mo-

że nawet trzynaście lub czternaście? Mechanicznie zaczął wyliczać, ile im zostanie netto po odjęciu kosztów zaproszenia przyjaciół z branży, nagle jednak przeraził się: Ragna nie żyje, Ragna leży w łóżku, nie żyje, nie mogę zostać tu przy niej, zaraz będę musiał zejść do tamtych. Płakać, pomyślał w nagłej rozpacz, płakać! Nie mógł jednak płakać, wstydził się, że nie potrafi, przez cały czas spoglądał po sobie i wstydził się, że siedzi w rozpiętym ubraniu, nie chciał siebie widzieć ani myśleć o sobie, wzrok jego błądził teraz bezradnie po pokoju, między rzeczami Ragny, martwymi, cichymi rzeczami Ragny, zatrzymał się przy dużym, chromowanym lustrze toaletowym, przypomniał sobie bar, na pół okrągły, chromowany bar, przy którym siedzieli, przysłuchując się opowieściom Janusa o jednej z jego dziewczyn, on sam opowiedział wtedy o Kate, Gustav zaś stał wśród butelek, pobrzękiwał rozbitym lodem w mikserze i wtajemniczony uśmiechał się, wtedy w drzwiach zjawił się kelner, informując, że jest telefon do pana adwokata, pozostali wybuchnęli śmiechem, sądzili bowiem, że to Kate, domagali się, żeby tu przyjechała, Janus krzyknął jeszcze, że postawi obiad, po odebraniu telefonu nie chcieli mu uwierzyć, ktoś pomógł mu włożyć płaszcz, inny wsadził mu kapelusz na głowę, potem, gdy odjechał samochodem, stali jeszcze na ulicy i machali rękoma, wydawało mu się, że nadal tak stoją, z sześciora podniesionymi ramionami, przez szybę widział ich otwierające się i zamykające usta, sam zdawał się nie traktować śmierci poważnie, uważał ją za niepojętą, barokową sprawę, barokową i trochę konieczną, nie mógł pozbyć się tej myśli, rozważał ją i musiał rozważać, aż komizm nabrał cech obłędu, jechał w zamkniętej skrzyni, ulice żeglowały mu naprzeciw, wpadając na niego, domy, tramwaje i konie widział w dali zupełnie malutkie, a równocześnie całkiem bliskie i ogromne, wszystko zdawało się być nieprzerwanym, połączonym, szeregiem zamkniętych skrzyń jak ta, w której siedział, kapelusz zsuwał to do tyłu, to wciskał na czoło, ciągle myśląc; śmierć, śmierć, śmierć, miał przy tym ochotę roześmiać się, nie odważył się jednak ze strachu przed jakąś nieprzeniknioną ciemną

mocą, może przed losem lub Bogiem, przypomniał sobie, jak szedł po schodach do swej sypialni, przez ubieralnię w pokoju Ragny, ciągle jeszcze szedł, a powietrze było jak lustro, w którym widział tysiące nóg i twarzy, myśląc równocześnie: muszę zwymiotować! równocześnie wszystko jest przecież inne niż sądziłem! i równocześnie; płakać, gdybym tylko mógł, to by mi pomogło! i równocześnie: mogę tu zostać tylko na chwilę, nie chcę myśleć o sobie, tylko o niej! Siedział, czekając aż ustanie kołysanie w żołądku, potem przestanie patrzeć na wzór dywanu, rozejrzy się w poszukiwaniu czegoś, co by mu mogło pomóc myśleć o niej, znalazł szalik, czerwony szalik na stoliku koło łóżka, wyciągnął rękę i chwycił go, był cienki lekki, ledwie go wyczuwał koniuszkami palców, trzymał szal przed twarzą i patrzył przezeń, pachniał lekko perfumami, był niczym czerwony powiew, powiew pajęczyny, zdawało mu się, że widzi Ragnę w czerwonej sukni, przed wielu laty, wyobraził ją sobie z tamtego okresu. Jednocześnie dobrze wiedział, że to nie o Ragnie chciał teraz myśleć lecz o Kate, o Kate w czerwonym stroju nocnym, jak wczorajszego wieczoru, zrozpaczony walczył z tym, w końcu jednak pozwolił się zaciągnąć przed lustro, objął ją mocnymi rękoma, ona chwyciła go za brodę i powiedziała: — Czy to nie wspaniałe, że nie jestem naga, a jednak możesz wszystko zobaczyć, moje piersi i łono, patrz na mnie, ty! — Widział w zwierciadle jej piersi i łono za woalką tańczących czerwonych punktów, jego twarz ściągnęła się jak w bólu; i stali tak wcale nie wczoraj wieczorem, lecz teraz i będą tak stać jutro i pojutrze. A jednak nie, pomyślał, zerwę z nią, teraz, kiedy Ragna nie żyje, zerwę z nią; mimo to wiedział, że nie potrafi, zwinął czerwoną woalkę w kłębek, otarł nią pot z dłoni i z czoła i odrzucił, kłębek jednak nadal był przy nim, nie tylko czerwony, ale również żółty, zielony i fioletowy, przed jego oczyma krążyła tęcza, i znów pomyślał; teraz muszę zwymiotować! i równocześnie: zostaje mi tylko moment! i równocześnie: Ragna, Ragna leży tam martwa! i równocześnie: nie jestem takim tchórzem, iż nie odważę się na nią spojrzeć, nie jestem takim tchórzem...

Biała, osunięta do tyłu głowa zdawała się być daleko, lecz widział pod kołdrą Coś wyciągniętego, nieruchomego i pomyślał: Ragna? Czyżbym nie miał rozpoznać Ragny? Czyż nie byliśmy czternaście lat małżeństwem? Widział teraz również ramiona długie, sztywne ramiona, złożone dłonie i gładką obrączkę na palcu, wpatrzony w obrączkę poczuł się tak, jakby miał już za sobą pogrzeb, jakby zebrali się teraz przy stole, on zaś wstał i powiedział w ciszy: — Straciłem jedyne go człowieka, który dzielił ze mną złe i dobre chwile... — tak, teraz wreszcie się rozplakał, cała twarz wykrzywiła się, równocześnie wiedział, że wcale nie płacze nad Ragną lecz wyłącznie nad sobą, nad słowami i błyszczącymi oczyma, w których odbijały się i zacierały światła ze stołu, płakał nad małą, połyskującą obrączką na palcu, rozplywającą się w wiele obrączek. Przestał płakać, siedział cicho, mrugał oczyma i wydawało się, że w jego wnętrzu chmara ślepych robaków usiłuje przewiercić się do Ragny, która nie żyła, nie miał jednak żadnych pomysłów, dzwonił jedynie, bez przerwy dzwonił z łóżka, a czarno-biała Lisbeth biegła po schodach w górę i w dół, zwrócił też uwagę na tace, na których stało niemal nie naruszone jedzenie, na zapach, który mimo kwiatów i wody kolońskiej tak mocno się rozprzestrzenił, że wytrzymał przy niej tylko moment, prawie nie oddychał, teraz za opuszczonymi zasłonami zapadł wreszcie półmrok, rozległy się ciche kroki i szepty, pragnął, by wszystko to minęło wkrótce, trwało jednak wiecznie. Nie, w ten sposób nie posunął się naprzód, jego myśli wracały do dnia, kiedy lekarz powiedział mu: — Proszę się liczyć z tym, że to rak. — Po raz pierwszy zostało wymienione słowo rak, teraz, w tym momencie zdawał się je słyszeć, siedział jak sparaliżowany, wpatrywał się w podłogę, by ukryć rozpacz, równocześnie jednak wiedział, że to nie rozpacz a triumf, straszny triumf: wolny. Nareszcie zupełnie wolny, nareszcie sobą, nie ma już nikogo, kto pamięta mnie małym i biednym, nikt nie może spojrzeć mi w oczy z wymownym milczeniem na temat wąskich i krętych ścieżek, matactw sprzed wielu lat, podstępów i sposobu, w jaki zrobiłem interes, zadając się

z Trockiem i jego ludźmi. Tak, teraz znów pomyślał o towarzystwie, kiedy Ragna na długo zniknęła z Trockiem, inni udawali, że tego nie zauważyli, potem nagle zjawili się oboje, ramię w ramię, Ragna roześmiała się wymuszenie i powiedziała: — Axel, chodź tu, wypij brudzia z Kallem. Myśmy to właśnie zrobili! — Dopiero w tym momencie wiedział, że są zabezpieczeni, zamknął oczy na to, co się stało; nie, nie zamyka oczu, wiedział, widział to przed sobą — a jednak, zamknął na to oczy i nie wiedział, nie pytał bowiem o to i później nigdy o tym nie rozmawiali. Lecz teraz wydało się, że słyszy wreszcie Ragnę, która mówi, mówi czarująca i widzi, jak się śmieje, pokazując białe silne zęby, widzi jej oczy, wszędzie obecne, widzi, jak ongiś męczyła się z wnoszącymi meble, ze stolarzami i malarzami, gdy przeprowadzali się z mieszkania do małego domu, potem z małego do dużego domu i teraz, właśnie teraz przedstawiała meble, oglądała lampy, dywany i firany, w sklepach stała przed długimi wałkami materiałów, dotykała ich, pytała, targowała się o cenę, stała w drzwiach dużego przedpokoju, przyjmowała gości, brała ich pod rękę, przedstawiała nawzajem, na koniec siadała przy stole za zapalonymi świeczkami i mówiła, mówiła, to na lewo, to na prawo, nie przeoczyła żadnego drobiazgu, była panią, obnażając białe, silne zęby. Wszystko to stało się teraz, stało się w oszałamiającym chaosie, siedział tu i widział rzeczy na różne sposoby i wiele oczu, wpatrzonych, i ręce, które ją niosły, i słyszał głos, głos rozkazujący, głos wilka, kryjący się za każdym wydarzeniem i przenikający je, nieobecny pomyślał, że ona nareszcie jest martwa, on zaś wolny, sam sobą, równocześnie czuł, iż nie powinien tak myśleć, zostałby bowiem ukarany przez los albo przez Boga, wiedział zarazem, że to nieprawda, nieprawda, i że gdzieś musi istnieć coś innego, czego mógłby się trzymać, czuł, jak coś mu każe wstać z krzesła i przejść do wezgłowia, stanął tam, spoglądając na białą, odchyloną twarz. Odczuwał jedynie strach, stał się nagle małym chłopcem, tym samym małym chłopcem, który kiedyś stracił grunt pod nogami i ze zbocza spadł do rzeki, teraz, właśnie teraz zsuwał się ze zbocza,

kurczowo trzymając się kępek traw i brył ziemi, one jednak usuwały się i ześlizgywał się coraz niżej, z głębi zbliżała się potworna czerń, wchłonęła go, tak iż nie pozostało już nic, czego by się trzeba bać, zalegała jedynie ogromna cisza.

Nie, nie znał jej. Nie wiedział, kim była. To, za co ją uważał, składało się z grymasów, było grą światła i cienia, powierzchniowym falowaniem nawianym kurzem, nawet nie tym, lecz świecidełkiem, woalką z tańczących punktów.

Teraz rozpadły się i ulotniły, wszystkie te drobne, nie mówiące zmarszczki, bruzdy i fałdy wyrównały się i wygładziły, dawno już zatarł się ostatni ślad myśli, inna twarz wolno i nieodparcie wznosiła się z rozsądzonej skorupy ku słońcu, leżała, żyjąc białym, obcym życiem. Nie czuł jej już swymi dłońmi, wydawało się, że nawet nie ma prawa patrzeć na nią, taka była nietykalna, niemal nie dotyczyła ani jego, ani jego myśli. Zdawało mu się, że to on sam umarł i wstąpił na drogę do innego świata, ona natomiast wyszła mu naprzeciw i powiedziała: — Kim jesteś? Czy widziałam cię już przedtem? — Nie poznała go, tak jak on nie poznał jej, mimo to istniało między nimi zwiewne pytanie, coś jak błędzenie po omacku w półmroku, może spotkali się już kiedyś, było to jednak prawdopodobnie tak dawno, że nie potrafią już sobie przypomnieć. Długo stał, zastanawiając się, lecz nie mógł odgadnąć, gdzie spotkał tę obcą twarz która leżała w swej wiecznej śmierci. W końcu nie miał już odwagi obrażać jej twarzy swym spojrzeniem, cofnął się nieco od łóżka, zerknął do lustra i przeraził się, w zwierciadle bowiem nagle odnalazł ją ponownie — zobaczył zmarszczki na czole, podkrążone oczy i dwie głębokie bruzdy prowadzące od nosa do ust, wilczych ust. Ona jest mną, pomyślał zupełnie zmieszany, to ja jestem tym, co uważałem za nią, to ja sam! Albo ja stałem się nią, przybrałem jej istotę i muszę ją nieść aż do śmierci, czy to ja mam wilcze zęby i głodne wilcze oczy? Bezradnie rozglądał się dokoła, ujrzał, że nie tylko twarz w lustrze, lecz również lustro i wszystkie przedmioty w pokoju mają te same głodne oczy, wilcze oczy, wokoło wilcze oczy i wilcze zęby, które na niego czekają...

Zerwał haczyk z balkonowych drzwi, zataczając się wyszedł na powietrze, stanął tam jęcząc. Potem znów ogarnęła go cisza, biała cisza z oddali. Czuł, że to wiosna, w drodze przez ogrody zdążył za cichym powiewem wiatru, aż pełen złych przeczuć zagubił się w dużych odległych drzewach. Uzmysłował sobie, że za drzewami znajduje się wybrzeże i że tam właśnie spotkał ją po raz pierwszy, przed wielu laty. Był wtedy po prostu młody, ona zaś była córką rybaka, nie rozmawiali z sobą wiele, ona bowiem była wówczas bardzo nieśmiała, prawie się nie odzywała, on bał się jej trochę, podobnie jak ona bała się trochę jego, mimo to przychodziła codziennie do jego namiotu, siadała podciągając wysoko kolana i spoglądała na wodę i chmury. Nie, prawie wcale z sobą nie rozmawiali, lecz właśnie tam się znaleźli, podczas gdy wiatr muskał trawy koło wydmy, na niebie żeglowały wolno duże, białe chmury, a na piasek świeciło słońce, to znów padał cień, teraz, właśnie teraz leżał na plecach, nasłuchując bicia fal, widział jaśniejące chmury, nie myślał o niczym, nieco dalej przykucnęła ona, milcząca, i napisała coś patykiem na piasku. Zapytał co pisze, nie chciała jednak odpowiedzieć, kiedy się zbliżył, onieśmielona wytarła słowo pospiesznie, nagle objęła go za szyję, patrzyła mu w oczy, a chmury, chmury wędrowały, nad piaskiem migotało, jakby cienie ognia. Tak się znaleźli, bez słowa, wszystko, co chciała powiedzieć, napisała na piasku i ponownie zasypała, i nigdy tego nie zobaczył...

W jego sen bezgłośnie wśliznęło się coś czarnego, długiego, tak jak na jaśniejący piasek pada cień rekina, nie zauważył tego od razu, widział tylko piszący patyk i próbował odcyfrować poplątane litery, zanim zasypie je ręka. Stopniowo jednak myśli jego zaczęły płonąć jak w obliczu groźącego niebezpieczeństwa, obudził się przerażony, zobaczył, że owa czerń była wozem, długim, błyszczącym wozem, stojącym przed ogrodową bramą. Kierowca w uniformie otworzył właśnie drzwi i z samochodu wolno wysiadł wysoki, czarny mężczyzna, Carl Trock z firmy „Trock Textilien”. kazał sobie otworzyć ogrodową bramę i powoli przeszedł po wykładanej płytkami ścieżce, znikając za rogami domu.

Tidemann nie czekał na dzwonek. Stał właśnie w łazience, mył ręce i twarz, krzywiąc się zawiązał krawat, uczesał się, zaplął kamizelkę i marynarkę i po raz ostatni obejrzał się w lustrze, tylko pobieżnie, wszystkie jego myśli wybiegały już bowiem w przyszłość, pospieszały przed nim po schodach do Trocka, chwyciły jego dłonie, z trudem opanowując mięśnie powiedziały: — Dziękuję, Carl, że przyszedłeś. Nie pojmujesz, co to dla mnie znaczy, że właśnie ty jesteś pierwszym człowiekiem, którego spotykam teraz, kiedy Ragna... Ragna... kiedy Ragna umarła.

Przełożyła *Maria Krysztofiak*